

Henryk Bułhak

część III z III

Sygnatura notacji: **N0123**

Data urodzenia: **01.01.1930 r.**

Data nagrania: **21.01.2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Michał Kurkiewicz**

Czas nagrania: **część I: 56 min, część II: 60 min, część III: 37 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Henryk Bułhak: No i co robić? Trzeba ratować ludzi, wyciągnąć z więzienia. I ten właśnie mój przykład, o którym za chwilę opowiem, pozwala na wyciągnięcie pewnych wniosków, dość istotnych moim zdaniem. Wujenka, rodzina moja, bo tam i matka, i siostra matki, zaczynają szukać możliwości, w jaki sposób można w ogóle tę sprawę ruszyć. Lecą do Asa. On mówi: „No, panie, jak to, po co, pana i starszego pana, i pana inżyniera, co wzięli, co tego aresztowali i tak dalej, panie As, ratuj pan, rób pan, co... No pomyślimy, no jak, taki porządny człowiek, i ten jeden, i drugi, oj, Boże święty”. I As wziął te sprawy w swoje ręce. Co się okazało? Że tenże właśnie, denuncjator był ni mniej, ni więcej, tylko zastępczym katem, który wieszał komunistów skazanych na karę śmierci. Bo kiedy w czasie jakiejś surowej zimy nie mógł dojechać ten przysłowiowy kat Maciejewski, nie wiem, czy akurat to był kat Maciejewski, wszystko jedno, to trzeba było kogoś w zastępstwie. I on się zgłosił, dobrowolnie. Co świadczyło o tym, że była to po prostu normalna kanalia, która równie dobrze mogła szkodzić za czasów sanacji, za czasów sowieckich, i gdyby żył, to prawdopodobnie by poleciał tak samo z jakimś donosem do gestapo.

Monika Kurkiewicz: A to był Polak, Białorusin?

Henryk Bułhak: Wolę nie określać jego narodowości. Hardziej, mógł to być Białorusin. Mógł. Ale wcale nie wykluczone, że był to może i jakiś tam Polak i tak dalej. Wie pan, te sprawy tam są... Bardzo się to wszystko razem... I tutaj As dotarł do rodzin tych skazanych, rzeczywiście skazanych i z prawomocnego wyroku sądów najjaśniejszej Rzeczypospolitej, skazanych komunistów. To może byli komuniści, a może to byli nawet kryminaliści, nie pamiętam, ale raczej chyba jednak to był jakiś podkład. To prawdopodobnie jacyś byli dywersanci. Tak bardzo jednak przed

wojną karą śmierci nie szafowano. Więc jeżeli ktoś już jednak został rzeczywiście skazany i bez zastosowania prawa łaski, to już musiał być naprawdę bardzo ciężkim przestępcą. I on to wykonał. To było proste. Te rodziny zaś poświadczły, że on rzeczywiście... Wiedzieli, że on dokonał tego aktu powieszenia, Hardzieja wzięto za cztery litery i prawdopodobnie go wykończono bardzo prędko, a dziadka i wuja ni z tego, ni z owego wypuszczono. Znaczący oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego dramatyzmu sytuacji, bo właściwie śmierć za wolność dwóch ludzi. Śmierć łądaka, to jest inna sprawa, bo jest prawie pewne, że oni tam go wykończyli, NKWD go wykończyło, tego Hardzieja, z drugiej strony być może, że ten człowiek już więcej naprawdę świństwa nie zrobił nikomu, a z drugiej strony, jaki płynie wniosek? Wniosek jest bardzo ważny. Po pierwsze, że nie wszyscy Żydzi zajmowali się wyłącznie donoszeniem na Polaków i tak dalej, że mogli czasem bardzo i to bardzo wyraźnie pomóc, i nasza cała rodzina, do której należy, powiedzmy sobie, dwóch akademików, bo właśnie synowie mego wuja, Iwo Białynicki-Birula jest wybitnym fizykiem, teoretykiem. Szczepan Białynicki-Birula jest wybitnym matematykiem, obaj członkowie czynni Polskiej Akademii Nauk, którzy raczej przynoszą naszej nauce odpowiedni blask. A mogli stracić bardzo łatwo ojca. Wystarczyło jeszcze parę tygodni, wywieźliby gdzieś ich dziadka i tak dalej. A druga rzecz, jeżeli ktoś mi mówi, że Żydzi byli traktowani absolutnie tak samo jak reszta społeczeństwa, jak Polacy i tak dalej, to ja mówię, nieprawda. Sowiecka polityka na tamtych terenach na starej zasadzie opierała się, „divide et impera”. W tym przypadku Polacy byli tą ludnością trzeciej, najgorszej kategorii, natomiast władze sowieckie stawiały na ludność żydowską, przede wszystkim, i na ludność białoruską. I żaden Polak, nawet gdyby to był komunista jakiś polski, nie zrobiłby tego, co zrobił piekarz, pan As. Oby Jahwe błogosławił wszystkim jego potomkom do końca świata. Owszem, dowiedzieliśmy się jakoś później, już po wojnie, znaczący już tak u schyłku wojny, że As ocalał. Że był w tej grupie, która wyszła podkopem... To była niezwykła sprawa, ale to już właściwie było na zupełnie inne opowiadanie, która wyszła z getta nowogródzkiego prawie kilometrowym podkopem do lasu, i oni tam później dołączyli do... Znaczący tam stworzyli te oddziały partyzanckie, ale to już zupełnie inna sprawa. Ale mówiono mi, że As ocalał i dojrzał do końca wojny. A dalej prawdopodobnie pojechał albo do Izraela, albo do Stanów. Kto wie, czy on nawet w Izraelu nie wylądował, bo do Stanów jechała głównie ta elita bardziej ukształcona. No ale to już nie wchodzimy w to wszystko. Więc to jest właśnie przykład, że Żydów trochę inaczej traktowała. I Żydzi dopiero byli aresztowani i wywożeni w ostatnim, przeważnie, albo w trzecim tym wywozie, gdzie wygarnięto Żydów uciekinierów z Galicji, z Małopolski, z krakowskiego i tak dalej, To tutaj rzeczywiście dużą bardzo grupę tych Żydów wywieziono, znaczący: grupę, bardzo dużą ilość Żydów wywieziono. Myśmymy się nawet stykali z nimi tam również na Syberii. A u nas w czasie tego ostatniego, tego czerwcowego wywozu 1941 roku głównie wywieźli właśnie burżuazję żydowską. Takich ludzi, którzy mieli jakieś tam sklepy, bławatne, takie kolonialne, jakieś hurtownie i tak dalej. Właśnie taką burżuazję żydowską. I myśmymy z tą burżuazją żydowską właśnie mieszkali przez kilka lat w Aczyńsku, i zupełnie nam było z sobą dobrze, była duża solidarność, tam Żydzi też oczywiście wykorzystywali swoje, podkreślam, rasowe kontakty, bo tamci miejscowi Żydzi też mieli z nimi wspólny język, no chociażby rosyjski, bo rozmawiali doskonale po rosyjsku. a ponieważ u nas w Aczyńsku był taki kołchoz, to był rzadki przypadek, ale to był jakby taki kołchoz, ale miejski. Znaczący na obrzeżach miasta normalnie ludzie mieszkali i tam były pewne jakby takie inspekty, ogródki i tak dalej, i głównie ten kołchoz był nastawiony na jarzyny, takie bardziej, na syberyjskie warunki bardziej fikuśne, pomidory na przykład. Pomidory tam trzeba było specjalnie hodoować i tak dalej, w inspektach, bo oczywiście nie pod gołym niebem. I to się nazywało Stalindorf, czyli „dwór Stalina”, Coś takiego. Jakby „gospodarstwo Stalina”. I tam kupa naszych Żydów pracowała w tym Stalindorfie, rzecz niesłychanie ważna, mieli żarcie. Zawsze było łatwiej ukraść jeden pomidorek niż komuś, kto nie miał dostępu do tych

pomidorków, ani do rzodkiewki, ani do marchewki i tak dalej. Więc dlatego właśnie opowiadam jeszcze raz. Żydzi w okresie przynajmniej przy pierwszych Sowietach, 1939–1941, niewątpliwie, podobnie jak i Białorusini, byli w jakiś tam sposób nieco uprzywilejowani. A poza tym, co tu dużo mówić, również było sporo Żydów w aparacie i administracyjnym, sowieckim, i przede wszystkim w aparacie bezpieczeństwa. Oprócz Gruzinów, których tam już towarzysz Beria przecież pościąggał oczywiście... Nawet nie wiem, czy ten Mundżan nie był, też Gruzinem. Cholera go wie. Nie wiem. Mundżan to mógł być jakiś... Może był jakimś Czeczeńcem, czort wie. W każdym razie wiem, że taki brunet był. Świetnie po rosyjsku oczywiście mówił. Ale mniejsza z tym. Więc takie historie się zdarzały. I teraz, jak wyglądało nasze życie? Otóż myśmy rzeczywiście starali się, z tego żyć jakoś, póki się dało, sprzedając to i owo. Niektórzy musieli się imać jakieś pracy, bo po prostu nie mieli z czego żyć. Całe szczęście, że właśnie u nas było trochę tych gratów... znaczy nie tyle gratów, tylko tych łachów i tak dalej. Natomiast jak wyglądały te migracje? Krótko jeszcze tylko powiem. Po śmierci babci, która nastąpiła 28 lutego 1942 roku, matka moja jakoś tak straciła, że tak powiem, werwę, myśmy bardzo to wszystko razem przeżyli głęboko, że tak powiem, To dla nas straszny cios był jednak, tym bardziej, że... tutaj trzeba podkreślić, jeszcze o czym nie wspominałem, że babka pojechała dobrowolnie z nami. Babka nie była na liście. I kiedy przyszedli, to powiedzieli tak: [wypowiedź po rosyjsku, 00:12:36] znaczy moja matka, [wypowiedź po rosyjsku, 00:12:39] I wtedy babka, pamiętam, tylko powiedziała... zdjęła ten... Jakże się nazywa? Zdjęła zdjęcie, fotografię mego dziadka, czyli swego męża, i powiedziała: „Ja z wami jadę”. I w ten sposób podpisała, że tak powiem, na siebie wyrok śmierci. Bo gdyby została, a mogła zostać, bo byli krewni, którzy by ją tam przygarnęli, ciotka Lola, czyli rodzona siostra mojej matki, która była w tym czasie na Litwie Kowieńskiej, przyjechałyby, jakoś tam dotarłyby do Nowogródka, zabrałyby no i być może babka by dożyła bardzo sędziwego wieku, bo miała rzeczywiście niesłychanie zdrowy organizm i tak dalej, niesłychanie silna była. Pamiętam, jak w kołchozie rąbaliśmy drzewo, no tylko było strach koło babki stać, bo to aż gwizdały, tego szczapy latały i tak dalej, doskonale władała siekierą. To była kobieta, która była od dzieciństwa przyzwyczajona do takiej ciężkiej pracy, miała takie dość trudne dzieciństwo. No niby owszem z bardzo takiego podupadłego i zubożonego ziemiaństwa, no ale właśnie dlatego była zaprawiona do pracy fizycznej. A w tym czasie po prostu grupy Polaków zgadywały się, wynajmowali wagony, co było dziwne, zdawałoby się, bo transport przecież, tam wszystko przecież waliło się, to był najbardziej dramatyczny okres tej kampanii sowiecko-niemieckiej czy tam niemiecko-sowieckiej, czy wojny sowiecko-niemieckiej. Tym niemniej tam wynajmowali, oczywiście za jakieś lapówki i tak dalej, i tak dalej, i ludzie wsiadali i jechali. Jechali przed tą zimą syberyjską. A tymczasem w trakcie tej podróży, która trwała całymi nieraz tygodniami, miesiącami, chorowali na biegunkę krwawą, chorowali na tyfus plamisty, i masa ludzi umierała. Na przykład taka też zjechała z nami właśnie w jednym wagonie, z Nowogródka jechała, taka pani Marciniakowa, która spotkała się tam z mężem, mówiono później, że ona się spotkała z mężem, mąż był aresztowany, bo tak było bardzo często, że męża aresztowali, jedną osobę aresztowali, a resztę wywozili. I na przykład było tak, że później ci ludzie się spotykali dopiero gdzieś tam na Syberii, w Kazachstanie i tak dalej, ludzie się spotykali. No i w ten sposób właśnie myśmy jakoś stracili ten moment takiego rozgardiaszu i bardzo takiego swobodnego już podróżowania po Rosji, i gdzieś tak takim wczesnym przedwiośniem, bardzo już NKWD wzięło już to społeczeństwo za twarz. Trzeba już było mieć wtedy pozwolenia, specjalnie trzeba było występować o możliwość nawet przejazdu kilkadziesiąt tam nawet kilometrów. Nie wolno się szlajać. Bo na przykład nawet, jakby jak się jechało służbowo w jakichś sprawach, moja matka raz była służbowo, znaczy tam w tej swojej artierni, w której musiała później pracować, była raz w Krasnojarsku, to też musiała dostać specjalny glejt, znaczy po prostu musiała dostać zgodę NKWD, że może jechać tam w sprawach

służbowych. I to dopiero wtedy się dostawało bilet i tak dalej. Więc co tu chodzi też. Więc myśmy zostali, ale ten rok 1942 był takim rokiem ogromnego zrywu takiej naszej fantazji polskiej, bo myśmy tam tworzyli i stworzyliśmy od razu takie biuro, takie ewidencyjne, robiliśmy ewidencję tych Polaków, którzy tam się znaleźli, od razu powstała Komisja Opieki Społecznej, później była jakaś tam Komisja Kulturalna, która zaczęła organizować jakieś tam i zebrania, i jakieś pogadanki, i referaty, uruchamiała tych ludzi z wykształceniem. Pamiętam, że z nami razem był niezwykle wykształcony człowiek, pan profesor Karol Łodziński, nawiasem mówiąc, rodzony brat wielkiego biskupa pińskiego, Zygmunta Łodzińskiego, to była taka też legendarna postać, biskup piński, pierwszy biskup piński, Zygmunt Łodziński, to był jego starszy brat, pan Karol był też takim chłopomanem, był zresztą ożeniony z chłopką taką, Białorusinką, którą nauczył czytać i pisać, i w ogóle zrobił z niej panią, że tak powiem, i z wykształcenia był przyrodnikiem, geografem i tak dalej, i uczył w naszym gimnazjum i liceum, oczywiście Adama Mickiewicza w Nowogródku. No i był z nami jeszcze... ja ogromnie dużo mu zawdzięczam, bo on mnie właściwie kształcił, bo ja nie chodziłem do szkoły, bo w szkołach tych sowieckich można było się wszystkiego... poza językiem, oczywiście odpowiednio również wzbogaconym, bardzo bogatym słownictwem tym, powiedzmy sobie, ordynarnym, to można było wszystkiego się nauczyć, i kłamać, i łgać, i palić papierosy, i czort wie co wyprawiać, i podkradać, i tak dalej, więc jakoś tam matka obchodziła ten nakaz tej, tej powszechnej edukacji, ja się właściwie uczyłem w domu, też dwaj właśnie Izraelici, Jasza i Abrasza Ginzburgowie, synowie naszego aptekarza z Nowogródka, wślaczali w mój absolutnie tępy do matematyki i fizyki łeb matematykę, a to była niesłychanie ciężka robota, wbijać cośkolwiek z matematyki w mój łeb, i mimo wszystko udało mi się po powrocie z Rosji od razu zdać do czwartej klasy gimnazjalnej, do klasy matematycznej w 1946 roku. Jasza zmarł chyba tutaj, znaczy już w Polsce, bo on jakoś ciężko się rozchorował na serce, a Abrasza ponoć mieszka... ja muszę jakoś jeszcze złapać z nim jakiś kontakt, jeżeli się uda, mieszka chyba w Tel Awiwie czy w Haifie i jest emerytowanym, też zresztą bardzo ponoć wybitnym, profesorem matematyki, na tamtejszym uniwersytecie. Tak przynajmniej mi tam wystukał w internecie mój właśnie brat matematyk, że tak, rzeczywiście taki Abrasza, Abraham Ginzburg, jest taki matematyk. Więc właśnie też tak samo jest jeszcze jeden przyczynek do tego, jak te sprawy się układały. No i ten pierwszy okres to było niesłychanie... taki był pełen, można powiedzieć, takiej nadziei, bo z jednej strony, tak, no było wiadomo, że tworzy się armia, że już ta armia Andersa jest tam na południu, znaczy, kto mógł, to tam naturalnie rwał, kombinowało się, mimo wszystko jechało się jakimiś tam... No tam dostawali jakieś puciovki, nie puciovki i tak dalej, w Aczyńsku, bo ciągle ktoś tam przyjeżdżał. Mieliliśmy swoją stołówkę, zorganizowaliśmy. Też w jakimś takim lokalu podnajętym, jakaś była kuchnia i tam, pamiętam, robiło się jakąś jedną zupę z tak zwanej „czeremszy”, to jest taka roślina, która jest bardzo taka dająca dużo witamin, coś pośredniego między cebulką, szczypiorkiem, konwalią i czosnkiem. Bardzo podobna do konwalii, bo ma takie same liście i takie grube łodygi, je się tylko i wyłącznie łodygi, a nie te cebulki, które zostają w ziemi, a smak, ma właśnie... Jest bardzo delikatny smak takiej bardzo smacznej, lekkiej cebulki. I to czeremsze się jadło i z chlebem, i z solą, że tak powiem, jeżeli dało się tam czasami jakąś warsteweczkę tej śmietanki zebrać z tego litra mleka, które się tam dostawało od jakiejś tam chaziajki czy kogoś takiego, no to trochę tej śmietanki się zaprawiało i to było bardzo smaczne, i to się soli w dużych beczkach, i wysyła się za koło polarne, bo jedzenie tej czeremszy, ze względu na witaminy, zapobiega cynze, czyli... No jak to się nazywa? To się nazywa skorbut, tak? Skorbutowi, tak. Więc rzeczywiście takie całe... Na takich polanach w tajdze to rośnie, to się kosi, normalnie kosi, zwala się na nawozy no i tam się dopiero później, tam na bazarach, to już tam sprzedawano w pęczkach, i to się robiło z tego zupę, i pamiętam, też przyjeżdżali jacyś ludzie młodzi, zatrzymywali się w tym maczyńsku, to się tam jakoś ich ekspediowało, oni tam jechali na południe do tego wojska,

do tej armii. I wtedy już zaczęła się ta ewakuacja, bo to było lato, i później właśnie od razu strzeliła ta straszna historia, mianowicie aresztowania tych naszych delegatów. To była taka prowokacja Stalinska, że tam tych kilku delegatów reprezentujących ambasadę aresztowano pod zarzutem współpracy z wywiadem, angielskim wywiadem, w końcu wywiadem kraju przecież sojuszniczego. I to wszystko działo się w okresie tej bitwy stalingradzkiej i tak dalej. I też to, co pamiętam, taki pan turecki był, który też tak samo... tam pamiętam, że on nawet jakieś tam też listy pozabierał, bo jakoś udało się jemu tam... bo tam oni parę osób wypuścili, i wiem, że ten pan turecki tam jechał, i on tam w końcu też dotarł tam na południe, do Teheranu i tak dalej. Wiem, że, że tego, że mama tam jakieś listy posyłała, żeby one tam jakoś przez Czerwony Krzyż doszły do Polski, i zdaje się, że coś takiego po iluś tam... po pół roku czy coś takiego, coś tam dotarło, wiem. Ale tu już niestety pewnych rzeczy nie nie bardzo mogę skojarzyć i dokładnie potwierdzić. No a później, jak już Armia Andersa odeszła, okres był taki też... jakoś trzymaliśmy się, że tak powiem, i później nastąpiła ta straszna paszportyzacja, która była dla nas ogromnym wstrząsem, bo było wiadomo, że jest niedobrze. Że bardzo jest niedobrze. Że zaczynają nas nękać właśnie jakimiś takimi szykanami, no a w pewnym momencie zaczynają zapraszać nas, znaczy głowy rodzin, do NKWD, czy nawet na milicję, „przyjmujcie paszporty”. No jak to? Mamy tu [niezrozumiałe, 00:24:18] i tak dalej, tak, ale ta reszta, one już nieważne, przyjmujcie paszporty. No i tu był taki moment, kiedy właśnie trzeba było zastanowić się, co dalej robić. Czy iść do więzienia, zostawiając rodziny na pastwę losu, ja miałem wtedy trzynaście lat i w żadnym przypadku nie utrzymałbym tej staruszki, bo już babci nie było, więc była tylko jeszcze ta pani Helena Woronowiczowa. 70-paroletnia pani. No i matka. I jak dziś pamiętam, że matka wtedy też tak zabrała jakiś taki... jakby tak troszeczkę... coś tam z sobą zabrała i powiedziała: „Spokojnie, Henryczku, my zobaczymy, jak to wszystko razem wypadnie. Jeżeli ja nie przyjdę na noc, to ja jeszcze tam... że przynajmniej może posiedzimy na demonstracji pewnej jako wyraz protestu”. I była również zatrzymana pani, o której wspominałem, pani Janina Jotkowa, Jotko-Narkiewiczowa czy tam pani Jotkowa, jak myśmy głównie ją nazywali, ona tego używała głównie nazwiska, i ona była tak zwanym mężem zaufania. Czyli była tą taką emanacją naszej tej społeczności polskiej wobec władz, więc ona tam rozmawiała z tymi wszystkimi enkawudzistami, bo to był ten... I ona już to później opowiadała mi po wojnie, ona chyba siedziała jednak te dwadzieścia cztery godziny, bo powiedzieli tak: „Zastanówcie się. Ale pamiętajcie, że to dwa lata więzienia albo lagru i później i tak przyjmiecie to. To widzisz. I tak przyjmiecie. Więc zastanówcie się dobrze, czy to wam się opłaca”. No i całe to nasze środowisko [niezrozumiałe, 00:26:23] jest wpatrzone w tę panią, jak ona zachowa się, jak zachowa się ta pani Janina. I ona siedziała tam, rozważała to wszystko i zdecydowała, że jednakowoż to nic nie da. I rzeczywiście ona wyszła, powiedziała, ja podpiszę, i tak dalej, i myśmy wszyscy wtedy, to znaczy te nasze głowy rodzin, te paszporty przyjęły, z tym że niektórzy tam... Moja matka coś tam zastrzegła się, targowała się, żeby wpisać... Aha, i wtedy matka, nawiasem mówiąc, sfałszowała swoje miejsce urodzenia. Bo urodziła się na głębokich Kresach, w Słucku, Czy tam pod Słuckiem, teraz już tam na pewno [niezrozumiałe, 00:27:11]. A wpisała Mińsk mazowiecki. Też nie Mińsk litewski, tylko Mińsk mazowiecki, W każdym razie w ten sposób to się stało, myśmy byli wtedy strasznie wszyscy przybici, no ale oni: „Nie”... [wypowiedź po rosyjsku, 00:27:36] Narodowość polska, trzeba było wpisać koniecznie „narodowość polska”. No to wszyscy dbali o to, broń Boże, nie wpisali tam „Białorusin” czy coś takiego, czy tam nawet Jewrię czy coś takiego, wszyscy narodowość polska i tak odbyła się ta paszportyzacja, ale był to niesłychanie ciężki... Rzeczywiście te parę dni to przypominam sobie jako po prostu koszmar, rzeczywiście to był koszmar. Bo ja też nie wiedziałem, czy ta matka wróci czy nie. A nuż nie. To wtedy rób, co chcesz. Człowiek jest bezradny. Co ja mam robić? Trzynastoletni chłopak. Gdzie pójść? Nie zajmę się... żadnego fachu, żadnego niczego. Wtedy jeszcze na tym pa-

siołku mieszkaliśmy. Gospodarze nasi byli bardzo sympatyczni. Znaczy: sympatyczni... No ona była taka chamowata trochę, ta Aksjinią, natomiast on był taki chłopski filozof, taki rezoner był, to znaczy umiał czytać, pisać nie bardzo, ale czytać umiał. Czytać trochę tak umiał, ale z pisanem było gorzej. No ale zawsze wypowiadał się tak rezonersko bardzo, jak już zabierał głos, to tak, żeby to była prawda. On zawsze ma rację, i tak dalej, podsumowywał sprawę. Nigdy nie zapomnę tej rozmowy, jaką myśmy mieli, bo oni pracowali... oni nam wynajęli całą chałupę. Chałupa jest składająca się z małej kuchenki i z dużego pokoju, takiego dużego, pokoiku takiego. Bo oni pracowali na kolei, przy utrzymywaniu w jakimś tam stanie używalności po prostu linii kolejowej. Więc podsypywali na przykład tamte nasypy, umacniali i tak dalej, przecież tam są te, jednak skoki, i temperatury, i zima, i tak... Więc oni tam mieli sporo roboty. Mieszkali tam w jakiejś tajdze, w takich barakach, bo to oczywiście ta linia kolejowa szła też przez fragmenty tajgi, mieli nawet tam jakąś krowinę, na miejscu, która się tam sobie spokojnie pasła na świeżym powietrzu, i co jakiś czas tam parowozem jakimiś przyjeżdżali i wpadali do Aczyńska. I zostawili nam psa. No to zapytała się matka, mówi, no dobrze, Ale co my mamy z tym psem robić? No przecież... A, mówi, on sobie poradzi. Jak to? Musimy go przecież podkarmiać jakoś. A on na to powiedział: „Przed rewolucją to robotnik zarabiał tyle i tyle. A teraz ja zarabiam tyle i tyle i nikt mnie nie pyta, czy mi to wystarczy. Ja też nie pytam, skąd on sobie weźmie pożywienie”. Czyli, krótko mówiąc, ten pies powinien sobie sam znaleźć. I rzeczywiście, ten pies biegał po śmietnikach wokół stołówki kolejowej, gdzie jakieś tam resztki czegoś on tam potrafił wyniuchać i zjeść, i to wszystko trwało tak długo, aż on, biedak, się czymś struł. I ten niezwykle sympatyczny, którego ja niezwykle miło wspominam, ten Borzik, no niestety musiał być zastrzelony, bo nasza ta chodząjka durna, bo też ona w tym czasie się znalazła, pomyślała, ponieważ on jakoś tak się kręcił, bała się, że on może jest wściekły. I zamiast po prostu poprosić, pójść na milicję, żeby go ten milicjant tam zastrzelił, to ona zmobilizowała, że tak powiem, bandę chłopaków, i ci chłopcy tego biednego psa załukli kijami. I ja do dziś dnia nie mogę sobie tego darować, i to dla mnie było... No ja wtedy miałem też te swoje trzynaście lat, więc to dla mnie było okropne przeżycie. I dopiero później zjawiał się, zadowolony oczywiście, że będzie mógł postrzelać sobie, ten milicjant ze spluwą, no ale już było po wszystkim. A to był niesłychanie miły, bardzo sympatyczny taki oczywiście kundelek, ale taki właśnie życzliwy, łaszący się. I wiecie, czym myśmy karmili go? Obierzynami kartofli. Pies jadł obierzyny kartofli. Gotowane zresztą, nawiasem mówiąc. Cały dostała garnek tych obierzyn i on ten sobie spokojnie jadł, a resztę to sobie właśnie tak dojadł jak ten jego kochany gospodarz, który powiedział, że no cóż, mnie też nikt nie pyta, czy mi to wystarczy, czy nie, no to... Więc takie to było podejście do tego biednego Borzika. Więc to już ten moment jest, o którym mówiłem, to jest właśnie ta paszportyzacja, później dla mnie bardzo ciężki był moment, okropnie, ja nigdy nie zapomnę, ja rzeczywiście wybuchnąłem wtedy płaczem, kiedy tak... bo gazet nie było, prawie żadnych, prawie żadnych nie było gazet, był taki nawet moment, kiedy właśnie pani Jodkowa poszła któregoś razu do redaktora miejscowej gazety, miejscowego organu, rejonowego organu partii, który nazywał się [niezrozumiałe, 00:33:34] czyli „Droga Lenina”, „Leninowska droga”, celem zaabonowania. No więc pan redaktor przyjął ją bardzo sympatycznie, ona się przedstawiła, że jest tym mężem zaufania, no że ona chce jednak mieć [niezrozumiałe, 00:33:56] Na co on zadał jej jedno jedyne pytanie. [wypowiedź po rosyjsku, 00:34:07] „Czy pani pali, czy nie?”. Na co pani Janina zgodnie z prawdą powiedziała „Nie”. Jedyna rzecz, do której jego organ się nadawał, to tylko do robienia skrętów, papierosy. To była rozmowa... Jeżeli ja bym tę anegdotę powiedział na zachodzie, to oni by prawdopodobnie nie bardzo orientowali się właściwie, gdzie tu leży pointa. [wypowiedź po rosyjsku, 00:34:42] Po co ten jeden egzemplarz ona będzie kupowała wtedy, kiedy on może trafić do rąk kogoś, kto właściwie z niego skorzysta. Natomiast jak wyglądało, nawiasem mówiąc, właśnie to palenie papierosów? Więc każdy palacz miał

cały zestaw przyrządów służących do palenia. Znaczy oczywiście poza własną gębą. Więc był hisjęt, to był taki woreczek, wszyscy tak, nie było żadnego tam tabaku, żadnego tytoniu. Więc na tych maleńkich poletkach, znaczy tych swoich ogródeczkach, hodowano jakiś tam tytoń, który suszono, oczywiście nożem kuchennym cięto te łodyżki na bardzo drobne te, te liście to jakoś tam rozcierano i to wszystko razem pakowano do tej torebki. Drugim niezbędnikiem był krzemień. Normalny krzemień. Do krzemienia przykładano się fikil, czyli jakby knot, a więc coś, jakiś kawałek materiału, który mógłby się troszeczkę zająć, zażarzyć, że tak powiem, i tak zwana „czyrkałka”, czyli jakiś kawałeczek stalowego jakiegoś takiego... no jakiś kawałeczek stali, i normalnie się krzeszło to krzesiwo w ten sposób. W momencie, kiedy się zapalał czy zaczął się tlić ten knot, wtedy dopiero się wciągało i paliło się dalej tym, co można byłoby nazwać chyba gwoździami, bo to przecież były kawałki dosłownie tej... Ja już nie pamiętam, bo to wszystko się działo... bardzo tak to było rozłożone w czasie, cały stół był zajęty tymi rozmaitymi... Aha, albo też zamiast fikila był grzyb. Czyli hubka.